

# BIUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE.

№ 52.

Rok 1922, Warszawa, 30 grudnia

Rok LV.

## OD ADMINISTRACJI.

*Szanowni Czytelnicy, jesteśmy zmuszeni podnieść od 1 stycznia 1923 r. cenę naszego pisma do 5 tysięcy marek miesięcznie. Pomimo to, pozostajemy jeszcze najtańszym tygodnikiem ilustrowanym, jakkolwiek od Nowego Roku rozszerzamy bardzo dział mód, a zwłaszcza dział robót kobiecych.*

*Prosimy natomiast bardzo naszych Czytelników o nadsyłanie wcześniej opłaty za prenumeratę, w przeciwnym bowiem razie będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę pisma.*

*Zwracamy uwagę, że czytelnicy, którzy opłacą z góry za kilka miesięcy nie będą dopłacali, o ile w ciągu tego czasu będzie nowa podwyżka prenumeraty.*

Dr. WACŁAW LIPIŃSKI.

## Spółeczeństwo a wojsko.

Zagadnienie powyższe nie istniało w Polsce przed ośmioma laty w sensie pozytywnym, w najlepszym razie poruszane było w sensie negatywnym.

Nikt się przed wojną nie interesował wojskiem ani zagadnieniami z armją związanymi. Nic w tem dziwnego. We wszystkich trzech zaborach funkcję „obrony państwa“ objęły rządy znenawidzone, wrogie, a kwestja służby wojskowej jeśli była poruszana w sferach polskiego społeczeństwa, to tylko w tonie pełnym sarkazmu i ironji.

Instynktownie odczuwało społeczeństwo nasze, że w słabości państwa zaborczego leży nadzieja zmian na lepsze.

Odpowiednio do tego ułożyły się stosunki społeczeństwa do armji państw zaborczych. Unikał każdy jak mógł służby wojskowej, nakazem patriotycznej natury stało się uciekanie i „wykręcanie“ się od wojska, obcy, znenawidzony mundur wojskowy był straszakiem dla wszystkich młodych ludzi w wieku poborowym.

Stosunku w sensie pozytywnym być nie mogło, albowiem nie było polskich wojsk. Burzę oklasków wywoływał wiarus z „Warszawianki“, lub husarz na scenie, ale... były to tylko bengalskie ognie chwilowego sentymentu, chwilowego porywu uczucia, za którym

nie tała się już rozpacz, czy bunt — lecz tylko smętne opuszczenie rąk.

\* \* \*

Dziś zagadnienie stosunku społeczeństwa do wojska stało się niezmiernie ważnym problemem narodowo-państwowym, od jego rozwiązania, śmiało rzec można, zależy siła moralna i wartość armji narodowej.

Od pierwszych chwil wybuchu wielkiej wojny europejskiej, zetknęło się społeczeństwo z oddziałami wojsk polskich. Czy były to Legiony Piłsudskiego, czy wschodnie formacje, czy oddziały polskie pod francuskim walczące sztandarem — wszystkie one reprezentowały państwową i niepodległościową ideę, — wszystkie one postawiły sobie za cel — walczyć o wolną Polskę.

Niestety, tragizm „potępieńczych swarów“, tragizm rozbitego na różne kierunki polityczne polskiego społeczeństwa, odbił się i na stosunku do tych poszczególnych formacji. Wszystkich się niemal jednako kochało, każdego z osobna, indywidualnie bez zastrzeżeń i bez wahania za polskiego uważało żołnierza, każdego się w dom prosiło, chroniło i pielęgnowało — ale w stosunku do całej, tej czy innej formacji, zawsze się miało jakieś „ale“ polityczne, zawsze się kryła nieufność,

czy aby dobrą, celową i korzystną jest droga którą wymierzył sobie polski żołnierz...

Na szczęście chwile te zostały poza nami. Dziś, po latach upłynionych, po „orientacjach“, których się już nie pamięta, po wielkich chwilach zbiorowego odczuwania klęsk i zwycięstw, porażek i triumfów — została jedna, prawdziwa, rzetelna opinja: „wszyscy oni ku jednemu celom zdążali, wszystkim łopotał nad głową sztandar Niepodległej...“

Niemniej w tych latach, któremi się już wszyscy zajmują — zagadnienie stosunku społeczeństwa do wojska, nie rozwinęło się w takich formach, nie nabrało jeszcze takiej treści — byśmy mogli mówić, że ono wogóle istniało. Zagubiło się i zbląkało... tłućko się między przeróżnymi orientacjami, osieracając polskiego żołnierza...

Odżyło ono i jest w pełni aktualnym od chwili, gdy dziejowy dzwon wybił godzinę wyzwolenia. Z momentem, gdy na rubieżach granic stanął żołnierz narodowej armji, zagadnienie stosunku społeczeństwa do wojska musiało stać się żywym i palącym i takim staje przed nami w chwili obecnej.

\* \* \*

W okresie dwuletnich zmagani się wojsk naszych na czterech frontach Polski, w okresie



walk z Niemcami, Czechami, Ukraińcami i groźną bolszewją — żołnierz polski stał sam. Należy to powiedzieć twardo i bez ogródek.

Były w owym dwuletnim okresie chwile, gdy żołnierz czuł się ramieniem narodu, duszą jego i tętnem żywej krwi. Tak było w pierwszych tygodniach listopada i grudnia 1918 roku. Jesienią owego pamiętnego roku, gdy w ciągu tych krótkich listopadowych dni jednym porywem entuzjazmu wyrzucono z granic Polski okupantów — żołnierz, zbrojny w zdobyty na wrogu karabin, czuł się żołnierzem swego narodu. Radość i entuzjazm, zapamiętane i podniecenie patriotyczne całego społeczeństwa po uzyskaniu niepodległości przede wszystkim objawiło się w serdecznej trosce o własnego żołnierza, najżywszym, gorącym uczuciem otoczyło jego szary mundur, w nieustannej pamięci miało jego los i żołnierską dolę. To też mógł żołnierz dokazywać cudów bohaterstwa w krwawych walkach o Lwów i Śląsk, o żyzne pola wielkopolskie, mógł się radośnie bić z najazdem wroga na wschodnich naszych granicach.

Drugim momentem, w którym ów stosunek społeczeństwa do wojska wyraził się tak serdecznie i gorącym ukochaniem ogarnął żołnierskie szeregi — były pełne grozy miesiące letnie roku 1920, gdy silna wola zwycięstwa i walki na śmierć i życie ogarnęła całe społeczeństwo.

Poza tymi dwoma krótkotrwałymi zresztą momentami wysokiego napięcia uczuć patriotycznych, które w stosunku do wojska objawiły się tak żywym z nim kontaktem — żołnierz pozostawiony był samemu sobie.

Walcząc na dalekich, odległych kresach wschodnich, bijąc się gdzieś w Letgalji nad Lepelskim jeziorem, trzymając straż nad Dźwiiną i Berezyną, sięgając po Dniepr i Kijów — zapomniany został przez większość własnego społeczeństwa w wojnie stale zwycięskiej, w ciągłych pochodach naprzód, oddzielony setkami kilometrów od wnętrza kraju — sprawiał wrażenie jakoby nic mu nie brakło, jakoby wszystko szło najlepiej, jakoby żadna chmura nie zawisła nad jego losem. To też straciwszy ten kontakt z wojskiem, zająwszy

się własnymi, codziennymi sprawami, odbiegło społeczeństwo nasze od wojennego podniecenia i wysiłku — nie mogło w pierwszej chwili pojąć, dlaczego nagle ta niezwyciężona dotąd armja cofa się i ślania, dlaczego w owych dniach czerwca i lipca roku 1920 front pęka i czemu nagle tak groźną stała się wojna?...

Zapomniało społeczeństwo, że żołnierz w polu odczuwa tak samo jak i ono, i że w wojsku nurtują i odbijają się te same prądy, nastroje co i w nim, że społeczeństwo straciwszy nastrój wojenny, o wojnie nieomal zapomniawszy — tą samą psychozą napełniło wojsko, walczące na dalekich okresach...

To był jeden z owych moralnych powodów naszej klęski, która się wówczas dopiero w zwycięstwo świetne zamieniła, gdy ów pasywny, obojętny dla wojny nastrój przysł, gdy całe społeczeństwo przejęło się pragnieniem walki i zwycięstwa i to pragnienie przeniknęło do własnego wojska.

\* \* \*

Przeszliśmy do chwili obecnej, w której pożoga wojny od dwu już lat została ugaszona. Każdy zajął się własnymi sprawami, wojsko ze stopy wojennej uległo demobilizacji, żołnierze w większości wrócili do swych codziennych warsztatów pracy — została armja w koszarach, na stopie pokojowej.

I dziś jak dawniej, jak w ciągu ostatnich lat — wojskiem nikt się prawie nie interesuje, ten lub ów zatrzyma się na ulicy, by obejrzeć maszerujący oddział z orkiestrą, zgani lub pochwali postawę — i na tym koniec.

Popęnia się nadal ten olbrzymi błąd, wpada się w ten sam nastrój daleki od wszelkich spraw związanych z wojskiem, traci się z nim kontakt, traci się rozumienie dla ważności roli wojska narodowego we własnym życiu państwowem.

Pamiętać bowiem trzeba, że narodowa armja musi się czuć zrosnięta w jedną całość z organizacją psychiczną społeczeństwa, musi odczuwać na każdym nieomal kroku, że jest zbrojnym ramieniem narodu, że każdy jej wysiłek, każdy krok pamięcią żywą jest otoczony, że atmosfera, w której się obraca, jest

pełną troski i zrozumienia tej roli, jaką wojsko w życiu narodu odgrywa.

Francja, po latach 70-ych i w chwili dzisiejszej najserdeczniejszą opieką otacza swego szarego „poilu“, w którym widzi jedyną gwarancję swego rozwoju, swej siły i potęgi. Niemcy, na militarnych przewagach oparli swój byt, uwielbiali aż do przesady swego „junkra“, interesom wojskowym podporządkowując wszystkie inne. Włochy w swych „bersaglierach“ widziały symbol żywotności i siły całego swego narodu. To też w tych państwach kultura wojskowa stoi na niezmiernie wysokim poziomie.

U nas zgoła jest inaczej. Społeczeństwo zda się zapomniało, że kiedyś przechodziło wojnę. W stosunkach naszych, gdzie państwo polskie ma 5000 km. nieostroniętych granic, gdzie z dwu stron czyha przemożny, zacięty, mściwy wróg, gdzie kują się już przeciwko nam skierowane traktaty, gdzie za ledwie jako tako zorganizowano zreby państwowe — w stosunkach naszych, gdzie jedyną naprawdę gwarancję przedstawia siła narodowej armji — dla armji tej, dla jej interesów nie ma w Polsce prawie nikt zrozumienia.

Stan taki trwać dłużej nie może. Wojna ostatnia aż nadto wykazała, że wojsko jest organem siły narodu tylko wówczas dobrze spełniające swą rolę — jeśli się czuje jedną z narodem całością, jeśli kwestje, związane z armją, z jej losem, z jej pracą i wysiłkami — są przez społeczeństwo, przez własny naród rozumiane i odczute. To też jeżeli społeczeństwo polskie jasno sobie uświadomi, że armja jest ramieniem zbrojnym narodu, na którego mocy i wytrwałości, sile i energii byt państwa się opiera, jeśli otoczy wojsko atmosferą serdeczną, przychylną a życzliwą, jeśli żołnierz w koszarach ujrzy widomy znak tego zainteresowania: czytelną, gospodę, serdeczne słowo i serce, dom mu rodzinny zastępujące, to wówczas armja zcalona z narodem, jednym uczuciem związana, jednym nastrojem z nim sprzęgnięta — stać będzie na straży państwowego bytu w tem dumnym przekonaniu, że „naród z armją a armja z narodem“ — potrafią czoło stawiać wszystkim wrogom Rzeczypospolitej.

ST. PODHORSKA-OKOŁÓW.

## LIST.

Na Placu Napoleona  
Choinki, grajek i „ona”.

Przed pocztą tłum, aż się mrowi.  
— Komu ślesz list? Kochankowi?

Skrzypeczki grają tak cienko:  
„Ach czekaj, czekaj, panienko!

Dziś miękkie otula futro  
Dziewiczą postać, a jutro?”...

Choinek ciśnięto krocie  
W powrósłach, we mgle, na błocie.

— Czemu się szat mych czepiacie,  
Choinki, wsparte na kracie?  
— Bo jak ty u szczęścia bramy  
Na gwiazdę naszą czekamy.

Stuknęła kłapa u skrzynki, —  
Zamarło serce dziewczynki,  
Zatrzepotały powieki,  
Jak wiotkie skrzydła motyla,  
Zadrżały usta jak liście,  
Czułe na powiew daleki,  
Główki się kielich pochyla  
Pod żarem wewnętrznej spieki...

— Co piszesz w tym wonnym liście,  
Pod bladą kopertą lila?

— Co piszę? ja nie wiem sama...  
Zawarła się losu brama,  
Skrwawiło się serce moje,  
Ja tego listu się boję,  
Ja wolę, by go nie było...  
Ja walczyć już nie mam siły...  
Na ustach twoich położę  
Pieczęć warg moich. Jak morze,  
Do stóp twych padnę ze szlochom,

Na szyi twojej obrozę  
Mych ramion, jasnych jak zorze  
Zamknę na wieki, o miły! —

... Splonęły brzoskwinie lica,  
Ogniem trysnęła zrenica,  
Natrętna bada ulica  
Krew, co jagody różowi.  
... Przed pocztą ciżba się mrowi,  
Skrzypeczki grają tak cienko:  
„Ach uchodź, uchodź, panienko!  
Daj grosz grajkowi!” —

Na placu Napoleona  
Choinki, grajek, tłum, „ona”...  
Gałązki sennie się chwieją,  
Zmierzchu opada zasłona,  
Utonął w głębinach futra  
Dziewiczy profil.

Do jutra  
Kochanku mój i nadziejo. —



# Joanna Grudzińska — Księżna Łowicka

W POEZJI I W ŚWIETLE HISTORJI.

Plan ów, okupienia sobie znośniejszego losu, za cenę poświęcenia szczęścia całego życia dziecka, tak głęboko tkwił w umyśle pani Brońcowej, iż nie wahała się gwoli jemu zwrócić się do rozwiedzionego męża Grudzińskiego z prośbą, o udzielenie w charakterze ojca przyzwolenia na uplanowane małżeństwo.

Przyzwolenie to, naturalnie, wobec świetnej perspektywy, która nad rodem Grudzińskich swój splendor roztoczyć miała, udzielonem zostało bez żadnych trudności. Doprowadziło ono nawet rozwiedzionych małżonków do takiego zbliżenia, że pan Grudziński bywał następnie w domu państwa Brońców w Warszawie, następczając niejednokrotnie złośliwym obserwatorom, szczególniejszy widok pani Brońcowej—siedzącej przy jednym stole w otoczeniu obu mężów primo i secundo voto oraz W. Księcia, z synkiem pani Frydrichsowej Pawełkiem.

Po usunięciu wszystkich przeszkód i skrupułów dynastycznych odbył się wreszcie 24 maja 1820 roku w kaplicach zamkowych: prawosławnej i katolickiej, ślub tak niezwyklej pary. Warszawa, oddawna już przeczuwająca, że coś się na zamku święci, ujrzała naraz na Krakowskiem Przedmieściu W. księcia, uwożącego do pałacyku Belwederskiego swą „trupio bladą bogdanke“.

Pożycie małżeńskiej pary już w pierwszym roku poślubnym stwierdziło horoskopy stawiane mu ze strony znawców charakteru Konstantego. W listach do przyjaciółek z lat dziecięcych: Anieli z Kołaczkowskich Krzyżanowskiej i do Melchiorowej Szofdrskiej, bez ogródek nazywa Joanna ów rok nieszczęśliwym. „Ból tajony wybucha w każdym jej słowie, w każdym zdaniu“. Doprowadził on nieszczęsną ofiarę do rozstroju nerwowego i do melancholji rozpaczliwej, graniczącej z obłąkaniem. Wyraźniejszych powodów melancholji i smutku głębokiego nieszczęśliwej kobiety, które się uwydatniły w rdzennej zmianie oblicza, wolno, zdaniem pani Morawskiej, jedynie się domyślać, i taką drogą odsłonić delikatną ręką tajone rany niewieściego serca. „Chociaż obyczajem ówczesnym, pisze Morawska, otrzymała była wychowanie kosmopolityczne i nawet dość słabo umiała po polsku, odczuwała rodzaj sromoty i wstydu na myśl, że poszła za Moskala“. Niewątpliwie, zdaniem mojem, uczucie to dręczyło ją musiało, lecz boleśniej prawdopodobnie odczuwała ona swą bezradność wobec natarczywości ze strony pani Brońcowej, która nie przestawała domagać się od córki, by zajęła stanowisko pośredniczki w załatwianiu z mężem powikłanych interesów majątkowych rodziców, niemniej dręczyła ją niemożność jednania ulg dla nieszczęśliwych barbarzyńców Konstantego, o jakie się do niej zwracano.

Wielki książe odrazu stanowczo zabronił żonie mieszać się do spraw publicznych, wstawiać się za osobami potrzebującemi jego łaski, lub też obawiającemi się następstw jego srogości.

Przybyłemu do księżny Joanny pewnego razu w sprawie jakiegoś nieszczęśliwego więźnia, zaleconemu gorąco przez panią referendarzową Morawską, generałowi Tomaszowi Łubieńskiemu, skorzystawszy z chwilowego oddalenia się czujnego tyra, wśród tłumionego płaczu zaledwie mogła księżna Joanna wyszeptać słowa: „Niech pan siostrze powie, że ja nic nie mogę, że nic mówić, do niczego mi się mieszać nie wolno!“

Nie trzeba być głębokim psychologiem i znawcą kobiecego serca, by zrozumieć, iż tego rodzaju stanowisko niewolnicy, skazanej przez dzikiego despotę na bezradność i posłuszeństwo nakazowi bierności i milczenia, stokrót musiało być dotkliwszem, wobec bezwzględności matki, pani Brońcowej, która od pierwszych chwil zamążpójścia córki nie przestawała jej zarzucać mnóstwem prozaicznych zleceń pod adresem wielkoksiążęcego zięcia. „O ile siostry Joanny Grudzińskiej, szwagrowie i cała rodzina trzymali się na uboczu, z szlachetną dumą unikając wszystkiego, coby zakrawało na wyzyskiwanie wysokiego położenia księżnej, o tyle grubsza natura pani Brońcowej nie znała takich delikatności“. Kiedy już w późniejszych latach stosunki między wielkoksiążęcą parą ułożyły się normalniej, i gdy księżna Łowicka posłała raz siostrze swojej Chłapowskiej piękne futro w darze, z prośbą gorącą o jego przyjęcie, szwagier, generał Chłapowski rozkazał wyrzucić je z domu i obcej darować osobie.

Wprost odmiennie zachowywała się pani Brońcowa. Nie pomagały prośby, z jakimi zwracała się do niej księżna Joanna za pośrednictwem sióstr, o ubłaganie matki, by była w swoich żądaniach powściągliwszą. Z powodu prośby pani Brońcowej o interwencję W. księcia w jakiejś sprawie procesowej — biedna Joanna wykręca się, politykuje i wzywa siostrę do pomocy w usprawiedliwieniu się przed matką, iż nie wypada jej prosić o to męża...

W jednym z listów Joanny znajdujemy dowód, że nie zawsze chodziło tylko o protekcję zięcia, lecz, że wymiana listów między panią Brońcową a jej córką obracała się czasami około spraw drobiazgowej natury i zmuszała księżnę do przykrych usprawiedliwień się, że jej „pensja, chociaż bardzo wielka, nie zawsze na wydatki wystarcza“.

Dosadniej uwydatnia się stosunek pani Brońcowej do wielkoksiążęcą parę w jednym z listów, pisanych do siostry. Rzuca on jaskrawe światło na brak poczucia godności nie tylko macierzyńskiej, lecz wprost niewieściej w matce biednej Joan-

ny i odsłania przejrzyście materialne jej widoki, jakimi się powodowała, narzucając dziecku nienaturalny związek małżeński z tyranem.

„Miałam wiele, wiele przykrości — pisze Joanna do zaufanej przyjaciółki. — Mama, po swojemu, a więc bez poradzenia się i rozmówienia ze mną, tajemnie i ukradkiem, a piśmiennie, nie ustnie, zażądała od męża mego rzeczy i nieprzyjemnej i niemożliwej, hańbiącej, nieprzyzwoitej, żebraczej. Chciała, abym cesarza prosili o pensję pięciu tysięcy talarów rocznie dla niej, jako matki mojej. Otóż być matką moją, nie stanowi żadnego prawa, ani zasługi, bo nie jestem niczem, jeno żoną mego męża. Zupełnie byłam nieszczęśliwą ze skutków tej propozycji na Konstantym. Takie rzeczy nie dopomagają do mego szczęścia. Far, far from it. Oświadczyłam jej, że niepodobna tej rzeczy ułożyć, zapewniając ją zarazem o mojej osobistej gotowości służenia jej we wszystkim. Bóg wie, co nie zaczęła wygadawać na mego męża. Ujrzałam ją w jednym z tych dawnych paroksyzmów gniewu, które nas niegdyś taką przejmowały trwogą. Stawając w obronie mego męża, powiedziałam z mojej strony nie więcej, aniżeli powiedzieć chciałam, nic takiego, coby mi wymawiać mogła, ale więcej, niż zamierałam. Mama znajduje, że powinnabym wciąż błagać, żebrać, prosić dla rodziców. Nie chce zrozumieć, że tu charakter matki mojej nic nie znaczy, że żadnego nie ma tu powinowactwa. Księżęta krwi żenią się z osobą, nie łączą się z rodziną. Chybaby coś dla p. Brońca jeszcze zrobić można. Sprawiedliwość wymaga, aby tylko zasługa wynagradzana bywała, ale, że sprawiedliwość ludzka bywa nieraz ślepa, możnaby ją raz jeszcze zaślepić. Zresztą, jeśli matka w takiej znajduje się potrzebie, aby żądać pensji, raczej córka i zięć o tem myśleć winni, byle nie żebrać u Cesarza, jak za nędzarzami stolicy, których mu się za każdym jego pobytem poleca. Już i tak mama czasu nie straciła. Przedstawiono cesarzowi do podpisania uwolnienie od czynszów z Borowa na lat dwanaście, co też podpisał. Zaczem mają czyste dochody z Borowa, a szczęściem, niepodobna na dzierżawę zaciągać pożyczki“.

Możnaby wiele jeszcze z listów Joanny zaczerpnąć dowodów owych sekatur moralnych, na jakie narażana była ustawicznie kobieta słaba, bezradna, wobec despotyzmu książęcego małżonka, kobieta o duszy chorej, znękaną, szukającą pociechy i ratunku w modlitwie i kontemplacji, kobieta o aspiracjach bądź co bądź idealnych, czystych, osnutych na poczuciu godności niewieściej i człowieczej.

(C. d. n.)



I często Kend, wracając z nizin — z wyprawy po chleb i sól — zastawał Nolę nad strumieniem pogrążoną w ciężkiej, bezwładnej zadumie.

Zarzucała mu po dawnemu białe łodygi ramion na szyję, ale w oczach zapalały się coraz częściej dawne płomyki dziwnych zachceń.

Zażyła kiedyś, by jej schwytał żywego niedźwiadka.

Przyniósł jej dwa.

Stoczył bój ze wściekłą samicą o jej młode.

Wrócił ranami okryty i strupami zaschniętej krwi.

Nola z krzykiem trwogi przypadła do jego skaleczeń.

Małe niedźwiedzieta zrzuciła ze skały pchnięciem kolana.

Kend zmęczonemi oczami patrzył jak spadały, objijając się o wystające cyple.

A Nola cicha i pokorna pieściła go i tuliła.

Kiedyindziej znów zechciała by jej wykuł rycerza, który jej się wyśnił w nocy — ze skały.

Kosztowało go to miesiąc pracy bez wytchnienia.

Nie miał narzędzi.

Prymitywnie wyciosanym krzemienym toporkiem dłubał kamień, aż uparty — ustąpił wyłoniwszy z siebie kształt pożądany.

Nola wydeła usta pogardliwie.

Rycerz nie był podobny do tego ze snu.

Zabrał się do pracy nanowo.

A kiedy był gotów, Noli zachciało się wygodnego łóżka.

Więc strugał stare cedry prawie samemi paznogiemi.

Krew mu tryskała z poranionych palców, — a rozum się oburzał.

Lecz robił.

Bo wiedział, że dla kobiety niema wartości to, co jest mądre i celowe.

Wiedział, że kobietę trzyma się zadawalnianiem jej bezsensów.

Robił łóżko.

A Nola kaprysiła.

Co nie znaczyło, że kochała go mniej.

Nola się nudziła.

Miało się ku wiosnie.

Coraz czerwonej słoneczna kropla spływała za zręby gór.

Mgły wlokły się bezkształtnymi falami po zboczach i urwiskach.

Powietrze grać zaczęło barwami.

Przycichłe tony przyrody wskrzeszały i, zbierając się w akordy, zapowiadały bliską sarabandę letnią.

Nola siedziała patrząc w słońce, które rozpaczliwie czepiało się wystrzępionych czubów skał, przedtem nim utonąć miało w otchłani mroku.

Oparła się o stalowe ramię Kenda i tak trwali, nadzy, przykryci ledwie skąpymi skrawkami koźlich skór.

— Patrz, jak ładnie!

— Tak, jakby wielkie czyjeś, skrwawione serce nadziewano na sztych obojętności. Te skały są dziwnie martwe i zimne w zestawieniu z drgającą boleścią zachodzącego, żywego słońca.

— Albo jak splakane oko, które nie wierzy, żeby mu danem było raz jeszcze się otworzyć.

— Królewska purpura...

— Rana otwarta — jak ta twoja po niedźwiedzicy...

— Królewski płaszcz purpurowy.

— Tak. Wstań Kend i włóż go. Tyś powinien być królem. Tyś taki wspaniały. Och, kochałabym cię wtedy! Niewolnicą twoją byłabym. Kend z łaski tylko dopuszczałby mnie przed swoje jasne oblicze. A i to po całym ceremoniale. Marszałek dworu trzy razy puka łaską o złotej gałce. Otwierają się drzwi: wchodzi biedna niewolnica Nola. Naga. Pachnie Chyprem. Chypre! Koniecznie! Tańczy. Kend niezadowolony. Woła okropnego Malajczyka, milczącego, ponurego z biczem z bawolej skóry. Wychłostać ją. Ciemne pręgi na białem ciele. Och, Kend, kazałbyś mię wybić?

— Kazałbym!

— Okrutnik! Naprawdę?

— Tak!

— Za co?

— Za to żeś nie umiała zadowolnić człowieka, który Cię kocha. To dowodziłoby obojętności. Prawdziwa Miłość wyklucza naukę, jak rozkosz dać ukochanemu. To się wie. Czy ja nie robię wszystkiego, by ci sprawić choć najdrobniejszą przyjemność, — by zadośćuczynić najbłahszej Twojej prośbie?

— No — to zostań królem.

Kend się roześmiał.

— Trzeba to było powiedzieć przedtem, nim poszliśmy w góry. Ostatecznie, możeby się to wtedy dało zrobić. Pieniężmi, wpływami dużo można. Robi się partje, poparcie.

— Oh, Kend, pocios ty przegrał wszystko?

— Już ci raz powiedziałem.

— Kend, ja chcę, byś był królem.

Kend milczał, ale przykro mu było.

— Kend słyszysz? — Głos Noli był podrażniony.

— Kend, bądź królem i bij swoją niewolnicę.

Delikatnie ujął bujną koronę włosów.

— To ostatnie życzenie mogę wypełnić zaraz.

Owinął sobie koło garści raz i drugi.

A potem podniósł piszczącą z bólu i cienkim zerwanym prętem jął chłostać cudne ciało.

Upajał się stopniowo jej zdumionym a potem przestraszonym krzykiem.

Bił ciągle i coraz mocniej.

Aż przypadła mu do stóp drżąca i zapłakana i wijąc się z bólu w psiej pokorze błagała, by przestał.

Czuł na kolanach rozszlochane jej piersi.

Długie włosy Noli motały mu się między palcami nóg.

Zgóry mierzył ją splomienionemi oczami.

Tej nocy między jedną pieścizną a drugą, kiedy Kend nizał jej w ucho wytworne perły najwyszukańszych słów tkliwości, usłyszał cichy szept złąny w całości z wilgotnym szmerem pocałunku:

— Kend, bądź... bądź królem!

#### IV.

Zajrzawszy do zagłębienia, które służyło im za spiżarnię, Kend zobaczył, że zapasy mąki i soli były już na ukończeniu, wobec czego zejść trzeba było w nizinę.

Nie lubił tych wizyt w mieście, gdzie go dawniej widywano w szacie pana z wielkiego świata, a teraz gawieź wytykała palcami, śmiejąc się z owczych skór przykrywających jego nagość. Pogrzebany był zresztą zupełnie w opinii i uważany za warjata nieszkodliwego, łagodnego obłąkańca.

Przykro było czuć na sobie współczujące spojrzenia dawnych znajomych, — lekceważące kiwania głową na temat: Boże, co się z tym człowiekiem stało! — albo wprost urągliwe uśmiechy tych co mu się dawniej w pas kłaniali, a teraz bryzgali nań błotem z pod białych gum kół automobili o niklowych szprychach.

W niedobrym nastroju strugał sobie kij z pobliskich krzów na drogę. Mścił się na niewinnym drzewie drąc zeń drzazgi żywe, soczyste.

Wymijał rozpadliny pełne śniegu. Czuł było jednak, że ziemia już rozmarza, że bliski jest dzień, w którym łaską przyrody białe puchy zamienione na srebrne nici wód spłyną wgłąb ziemi bezpowrotnie.

Rzeźko było i lekko.

Zszedł z grani i zbliżał się do pasa, gdzie las ciemnym futrem obległ stoki i stał się aż tam w dół, wynaturzając się stopniowo w krze i łąki.

Kend myślał.

Żle, że Nola ma zachcenia, których on spełnić nie może.

I za to, że nie może, zły był na siebie. Bo dla kobiety sprawdzianem siły uczucia mężczyzny jest to — co dla niej zrobić jest w stanie. Granic możliwości nie bierze w rachubę intelekt kobiety, różnice między rzeczywistością a marzeniem zacierają się doszczętnie w jej pojęciu, gdy kocha i gdy uważa się za kochaną. I Kend tak sobie myślał, że nie należy nigdy sprzeciwiać się zachciankom kochanki.

Więc wszystko!



# GWIAZDY i DOLARY.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone  
Copyright by M. H. Szpyrkówna.

(Dokończenie).

Rozkoszą parków amerykańskich jest to, że są naprawdę miejscem wypoczynku i swobody. Trawniki są do użytku, wolno na nich leżeć, siedzieć, biegać, grać w tenisa, czytać książki. Trawa jest gęsta i nisko strzyżona, obficie skrapiana i zawsze świeża. Jedziemy torem samochodowym. Obok jest aleja dla konnej jazdy i suną po niej pary i kawalkaty, ubrane tak, jak tylko rozmiłowana w sporcie Ameryka potrafi. Dalej jest chodnik na dwie szerokości, jeszcze dalej — gazon, na którym tu i ówdzie siedzą lub leżą ludzie, przyglądający się sunącym autom i ludziom. Inni siedzą po ławkach, ustawionych wzdłuż toru, jeszcze inni na zboczu parku, opuszczającego się ku wodzie. A za tem wszystkim rozlewa się szeroka, majestatyczna, srebrna i zawsze owiana błękitno-różowymi mgiełkami Hudson-River, niosąca fale ku morzu. U brzegów jej tłoczą się barki, statki i czółenka, zwykły drobiazg wodny, który przynosi i odnosi na swoich potężnych falach, ale ich niemal nie znać na jej szerokiej dali, w której tylko latarnie rzucają wężowe drgania. Ogromny, modry przestwór wody, ogromna, modra perspektywa ulicy, ogrom powietrza i mroczno-zielone sklepienie drzew — zwierciadlane okna pałaców, patrzących na to od strony, wybrzeża przeciwniej — tajemnicze i nieznanne życie za haftami spuszczonej ich rolet — coraz to nowe posagi, arkady i łuki, mijające w miarowym biegu — pragnienie, aby ta błękitna dal wody nigdy nie znikła, a jezdnia nigdy się nie skończyła — Riverside! Perła, jaśniejąca blaskami wody i nieba wśród szarych głazów potwora.

Zwrot w bok — i autobus, wjeżdża znowu w ciemną uliczkę, tylko o kilka mil dalej. Oczy z żalem żegnają modre rozłogi nieba i wody. Znowu mury, głazy, wrzask i ciżba śródmieścia. Szczęśliwi, którzy jesteście tam zawsze, za tajemniczym haftem rolety, czy macie w duszach coś ze spokoju tej wody i szerokości nieba? Czy tylko — blask dolara, który jest wam niebem i ziemią, alfa i omega istnienia pod promieniami waszych wytkanych gwiazd?

\* \* \*

Prześliczny ptaku o różowych skrzydłach, nie wiem, jak się nazywasz. Może jesteś ibisem, a może nazywają cię flemingiem. Czyż to nie jedno? Wiem, że jesteś skończenie piękny, wiem, że jesteś wśród swojej rzeszy klejnotem, jak różowa perła wśród muszli. Może mieszkałeś w Egipcie, i rubinami oczu patrzyłeś na piramidy, stojąc tak oto jak i teraz w zamyśleniu na wysokich, mocnych nogach nad wodą, która ciebie odbija. Może japonka w bogatym kimonie rzucała ci do basenu rączkami o malowanych paznokciach okrucy bułki pod wiśniami swojej dalekiej ojczyzny? Teraz jesteś tu. Przywieźli cię do kraju, który jest tak wielki, że może nie skąpiąc dać miejsce pod państwo zwierząt i pod republikę ptasią. Jest tam was dużo, ale nie powiem, żeby to była klatka. Czyż można nazwać klatką sieć

tak wielką, przerzucono ją ponad stawem, a ona zamknęła w sobie staw i jeszcze po obu stronach zagarnęła zielone wykosy łąki? Jest tak wysoka, że niespokojny ptasi drobiazg lata pod jej sklepieniem, goniąc się i napełniając powietrze furkotem skrzydeł jak na swobodzie. Gdyby gruby pelikan, drzemający tuż u brzegu, mógł się zirytować, uczyniłby to z pewnością. Nie mogą zupełnie rozróżnić gatunków i nazw w tej masie trzepocących się w powietrzu, otrząsanych z wody i błyskających wszystkimi barwami tęczy piórek. W sitowiu stawu kryje się tyle takich, których nie widać. Ale to malutkie, tęczowe dziwadło wielkości pszczoły, któreby można oprawić w pierścionek jak oczko, a byłby to najśliczniejszy z pierścionków, to koliber, o którym piszą poeci, wszak tak? Co myśli, kiedy w pawilonie obok zaczynają tak ordynarnie wrzeszczeć papugi, wyglądające przy nim jak przekupki postrojone na targ przy księżniczce? I czy nie bije mu serduszko — jeśli w czemś tak lilipuciem serduszko wogóle się zmieści! — kiedy z okratowanych pieczar w godzinie karmienia zwierząt, wywala się kłębami gromu straszliwy poryk lwa?

Oczy z żalością opuszczają napowietrzną sieć na łące, pod którą żyje wielobarwna, skrzydlata, egzotyczna rzesza. Tyle, tyle rzeczy do widzenia w tym olbrzymim Bronx-parku, gdzie każde zwierzę ma rezydencję letnią i zimową, podług gustów i zwyczajów, gdzie na słonecznych łąkach, jak na łąkach Arkadij pasą się danjele i kozice, gdzie z gąszczu wygląda czujna główka gazeli a jeleni trze o drzewo rosochate poroże? Tyle przestrzeni, tyle słońca, takie ogromne, ciche, zielone rozłogi i gaje! Można tu błąkać się godzinami i nie wiedzieć, że osierdzie tego Edenu widzi, jak i Eden, wszystkie gatunki zwierząt, płazów i ptaków, zapelniających lasy i łąki ziemi. I mimo, że tygrysy są tak aksamitnie drapieżne, a lwy tak wspaniałe królewskie; mimo że słonie tak sprytnie chwytają centy, aby za nie kupić u panny w budce cukierka, i mimo wszystkie sztuki białych niedźwiedzi w ich grocie z wodą i lodem — nie im poświęca się najwięcej uwagi. Tyle cielska i tyle krwawych ochłapów! Takie namiętne, dyszące żądzą krwi, prężne pod aksamitem skóry ciała! Passons outre, zwłaszcza że czas już nagli. Czyż nie jest milej, na łące bardzo daleko, patrzeć jak ptaki plotą i oplatają mozaikę cudownych piórek, jak się przekrzykują w pawilonie papugi i jak w innym bezszelestnie roskracają leniwe, ciężkie swoje potworne pytony, kobry i grzechotniki, unosząc ku górze płaskie łby o połyskujących uważną, chłodną złością oczach, oczach gada? Krokodyla kolonja, dobrodusznie wygrzewająca się w ile swojej sadzawki opodal, wydaje się nieomal dobroduszną, mimo swoją potworność w zestawieniu z temi zwojami zimnych cielsk wężów, podobnych z swej nieruchomości do zaczajonej sprężyny, która nagłym rzutem rozkręci się, uderzy —

i zabije, samą skondensowaną potęgą chłodnej, wężowej złości. Czy świat takich wężów, nieruchomo - nienawistnych wobec niewoli życia, i świat wiżdzących na drzewie lekkomyślnych i łakomych małpiąt za szklaną ścianą, nie jest światem, dalszym dla siebie nawzajem, niż najbardziej krańcowe „platformy“ naszych politycznych grup?

W każdym bądź razie „polityczne stronnictwa“ z ogonami, żądłami i rogami są w Bronx-parku ugrupowane przynajmniej o tyle szczęśliwie, że w jego rządach głosu nie mają, no — i nie potrzebują nadeptywać na siebie wzajem nie tylko dlatego, że siedzą w klatkach, lecz i dlatego, że dano im przepych miejsca, na jaki sobie tylko chyba Ameryka pozwolić może. Ba! Czy jest coś, na coby wogóle Ameryka sobie pozwolić nie mogła? Gdyby mogła złapać staruszkę-Europę na łańcuch i wsadzić do klatki, dla oglądania na miejscu, zamiast aby jeździć do niej przez morze, uczyniłaby to z całą prostotą. Niestety, na razie to się nie da przeprowadzić. I miljonowe amerykanki wciąż jeszcze uważają za „pointę“ swego wykształcenia światowego tradycyjną podróż do Europy — po księcia, markiza lub angielskiego para. Ale zato przyjeżdżają tam z własnymi drobiażdżkami: mały krokodyl w wanience, puma na złotym łańcuszku, albo i zgoła wąż boa, zarzucony na szyję (br! Śliskie) zamiast futra przez uroczą obywatelkę amerykańkę. Cóż się dziwić, że wobec tych dodatków, rozwody są jednakże przynajmniej tak częste, jak śluby? Europejscy dżentlmeni mają względy dla poskromicielek dzikich zwierząt, ale w domowym życiu wołają buduar, niż menażerję — nawet z Bronx-parkiem w New-Iorku.

\* \* \*

Z okna hotelu nie widać nic, prócz błękitniejszego zmierzchu. Jeszcze nie noc, ale dzień już minął. Słabo widać sprzęty w pokoju, wyraźnie się rysują zato ciężkie zarysy gmachów na szaroniebieskim tle nieba. Ostatnie chwile w New-Iorku! Czy da się jeszcze kiedy zobaczyć to kolosalne, nowe miasto, które jak mały Waligóra śmieje się z błyskotek dziecka, a na barach dźwignęło tę przepotę gromadę głazu, stali i betonu? I siedmiomilowymi butami kroczy przez kraje i czasy na sam szczyt postępu, techniki i udoskonaleń?

Pierwsze latarnie zabłysły za oknem, a na ciemniejszym niebie, w przesmyku między załomami dachów, rozłożyły się gamą blasków i zwinęły znów wspaniałe pióra pawia. To Brodway, arterja New-Iorku, daje znać, że rozpoczął swe nocne życie. Nie skończy je, aż nad ranem, aby po krótkiej przerwie, zacząć znowu w odmiennej nieco formie. Nocny Brodway! Świetliste labirynty teatrów, brzmiące muzyką restauracje, sunące torem auta, w których dźwięczy śmiech i powiewają długie, cudowne rajery, sprzedawaczki kwiatów u progów ludnych sal, wielkie, ciche



gwiazdy nad miastem, z całym jego przepychem, pokusą i grzechem.

Rachunek dwóch tygodni zamknięty. Deficyt? Czy — zysk? Myśl napróżno usiłuje podsumować, obliczyć i wysnuć wnioski. To — jeszcze nie teraz, to jeszcze nie tu. Na rzeczy tak wielkie, jak New-York, należy patrzeć albo z bardzo wysoka, albo z bardzo daleka — by uchwycić całość. Można stwierdzić tylko jedno: jest wielki i rośnie jeszcze. Ale jak się rozrośnie? Wszerz? Czy może jednak — w górę? I co mu będzie świeciło w tym rozroście energii życia i siły? Gwiazdy? Czy — dolary?

I kiedy za lustrzaną szybą pulmanu, miękko drgającego w biegu po szynach wzdłuż peronu w kierunku Chicago, w świetlnym chaosie lecą wstecz tysiączne ogniki latarni, okien i reklam: na ciemnym tle nieba wyrasta pewna postać. Ma silne, piękne, brązowe ciało, okryte malowniczo strojem z traw i muszli, a w kruczych włosach orle, dumne pióra. I nos ma orli, i orli także ma wzrok, i władną królewskość postaci. Tak, to on, prawy dziedzic tej ziemi, wódz indjan, którzy ją mieli podwładną. Jak mu na imię? Nie wiemy. Może go zowią Orle Oko, a może — Strzała, która nie chybia, lub też Serce Lwa. W każdym bądź razie, imię jego zawsze znamionuje

odwagę, szlachetność i męstwo. Nie jest tym, który napada bezbronnych. I rannych dobija także nie on. On tylko chce żyć wolno na ziemi, która jest jego, odwieczne prawo istnienia.

Fragment z rozmowy informacyjnej z amerykańczakiem:

— ... Absolutnie niczego im nie brakuje, rząd im dostarcza wszystkiego. Nikt ich nie zmusza do niczego, są zupełnie wolni.

— Ale dlaczego ich nigdzie, w takim razie, nie widać? Na ulicy, w tramwaju, w kinie?

— Oh! Bo mieszkają osobno, w tak zwanych rezerwacjach. Stamtąd im się rozsiedlać nie wolno.

— ? —

— ... Indianie wcale nie potrzebują pracować. Rząd amerykański wyznaczył im stałą zapomogę. Żyją i nic nie robią, są zupełnie zadowoleni. Zresztą, wymierają coraz bardziej, więc, jako o narodzie, trudno o nich mówić.

— ? —

— ... Bynajmniej nie więzieni i wcale nie jak dzikie zwierzęta. Ale Amerykanie musieli poczynić pewne ograniczenia. Wy nie macie w Europie pojęcia, jacy Indianie są mściwi. Przecież spalali całe nasze osady, skalpowali wszystkich z kolei, wybijali co do nogi!

— Napadali? Czy — bronili się?

— Powiedzmy, bronili się, naturalnie. Ale

— ? —

Pociąg mknie, i niebo jest coraz ciemniejsze. Gdzieś, na tle tego nieba, u wstępu na wolną ziemię amerykańską, stoi wspaniały symbol: posąg Wolności. A poprzez pola i lasy, poprzez osady i miasta, poprzez indyjskie rezerwacje, gdzie z każdym rokiem wymiera otoczony opieką rządu, brązowoskóry lud o wzroku orła, którego skuto w łańcuchy, krokami olbrzyma i ducha idzie Ktoś. Ma orle pióra we włosach i dumną, władną, otwartą twarz. Może mu na imię jest Serce, które nie zdradza, a może Chwała Poezji. Idzie, i stanąwszy nawprost posągu Wolności, zakłada ręce na piersiach i patrzy bogini twarz w twarz. On jeden, który to zrobić może.

I gdy tak patrzy, twarz mu się zmienia. Oczy się mrużą, a usta wykrzywia uśmiech tych, którzy tłumią pogardę. I przed spojrzeniem prawego dziedzica tej ziemi, spizłowe powieki Wolności opływają czerwoną łuną.

A może — jest to odbłask osłaniającego wspólnym hasłem wolności amerykańskie miasta i indyjskie rezerwacje modrego sztandaru z gwiazd?

K O N I E C.

WANDA MIŁASZEWSKA.

## KSIĘGA UMARŁYCH.

21

— Niech pan koniecznie zajdzie przed wyjazdem. Jeszcze raz dowidzenia.

— Dowidzenia, przyjdę napewno. I niechże się pani nie martwi zabardzo, droga panno Olesiu. Mamie napewno będzie lepiej.

Podniosła na mnie oczy z wdzięcznością.

— Daj Boże, daj Boże... — szepnęła ze łzami w głosie i potrząsnęła czupryną krótkich włosów, jakby dla odpędzenia niepokojących myśli.

Zabrałem paczkę i powróciłem do Bożej Woli. Przez drogę myślałem o tem, że znowu coś się odwlokło, coś, co się stać mogło i co się stać powinno. Coś, czego pragnął tak bardzo wujaszek Klemens za życia. Tak, to przecież będzie moja narzeczona! powiedziałem do siebie prawie głośno i uśmiechnąłem się do tej myśli prawie radośnie. Panna Olesia, panna Olesia!

— Dlaczego ona obcięła włosy? — przypomniało mi się nagle. — Tak jej było ładnie z jasnym, grubym warkoczem. Wujaszek Klemens zachwycił się nim tyle razy. Jakże to było? Aha, oburzył się na mnie, że zbyt obojętnie mówię o tej pani. Jakie to dawne czasy! Muszę teraz przypominać sobie wszystko, od samego początku. Prawda, Olesia przechodziła tyfus! Pisał mi o tem wujaszek. Że też ja nie zapytałem nawet!.. Biedactwo, przechorowała porządnie. A teraz wygląda, jak pacholátko wiejskie, z tą jasną „chyry“ nad czołem! Jak ona wyrosła i wyładniała. Nigdy nie była bardzo piękna, ale teraz ma jeszcze więcej wdzięku, niż wtedy, gdy była zupełnie młodzieńką dziewczynką. Zmieniła się. Taka

jakaś inna, niż ta, której fotografię wywoziłem ukradkiem ze sobą.

— Ale pan wróci do Bożej Woli? — to były jej słowa przy pożegnaniu. Czy ona mię wtedy kochała trochę nawpół dziecinnie serduszkami? A czy mię teraz pokocha? Nie wiem i nawet nie wiem, czy tego tak bardzo pragnę? Miła jest, miła i musi być ogromnie dobra. O tem wiedziałem już dawniej. Ale czyby nam było dobrze ze sobą, czy bardzo dobrze, czy tylko znośnie? I jakże to będzie? Oświadczyć się Górskiemu, czy tylko powiedzieć do niej poprostu: „panno Olesiu, niech pani zostanie moją żoną?..“ Nie, to za sucho. Ale znowu, powiedzieć: „kocham panią?“ Mogłaby popatrzeć ze zdziwieniem, nawet z przestachem i odrzec: przecież pan mię wcale nie zna... Nie widzieliśmy się tyle lat... A i przedtem właściwie nie bardzo wiele widzieliśmy o sobie...

Tak, to prawda. Nie znaliśmy się i nie znamy. Nie wiemy nic o sobie, albo prawie nic. A jednak to mogłoby być ciche, jasne szczęście. Nie takie, o jakim marzyłem kiedyś górnym i chmurnym, nawet nie takie, o jakim myślałby dla mnie stryj Karol, gdyby żył. Tak, to byłoby szczęście wujaszka Klemensa, szczęście mej matki, pogodne, zacne szczęście, — właśnie dlatego zacne, że ciche, właśnie dlatego jasne i pogodne...

Z takimi myślami wszedłem do mieszkania. W gabinecie zastałem starą Krystynę.

— Na co Krystyna czeka? — zapytałem, zdziwiony trochę jej obecnością:

— A to, jasnie paniczku, gazety z poczty przyniosłam i listy. A jeden, to tak pachnie, oo...

Pociągnęła nosem i dorzuciła:

— Przez fartuch niosłam, bo by mi całe ręce przeszły tym zapachem. Niechno pan zobaczy, to napewno żeński list... Oj, już ja się dobrze znam na tem. Sześćdziesiąt osiem lat mam, to i na niejednym się wyznam. Tylko, że ja takich listów z perfonami, to i nie bardzo lubię. Pani starsza, nieboszczka, bywało, listeczek mięty jeden albo i drugi do koperty włoży, jak do dzieci pisała, do szkół. Żeby im pachło. Ale tak, to co insze. Była jedna taka w miasteczku, co sobie na łeb i na bluzkę codziennie z pół flaszeczki wylała... I co? Mówili o niej ludzie niejedno...

Wiedziałem z doświadczenia, że z Krystyną nie łatwa sprawa. Stara to była sługa, rozpuszczona trochę, lubiąca wszędzie własne trzy grosze wtrącić, a jak zaczęła swoje wywody, nielitościwie kładła każdemu w uszy, co tylko miała na sercu. Jednakże zdecydowałem się przerwać jej gadaninę:

— Moja Krystyno, to już może później. A co tam z obiadem słysząc?

— Obiad wystygł, więc się odgrzewa. Niechno paniczku zobaczy ten list, omyliłam się może, co? — wygrzebała ze stosu papierów wąską, podłużną kopertę, zaadresowaną wielkim pismem.

(C. d. n.).



# Z TEATRU.

## JUTRZENKA IDEALIZMU.

Bywając często w teatrach, można być świadkiem dziwnych a ciekawych rzeczy, nie na scenie, lecz na widowni. Dziwnych a ciekawych. Najczęściej komicznych, niekiedy smutnych, a czasem zgoła niespodzianie pocieszających. Przeciętny uczestnik widowiska z pozornie drobnych incydentów teatralnych zaobserwuje jedynie skorupę bez wartości, djagnosta społeczny, trzymający zawsze czujną dłoń na pulsie tłumu, nie tylko domaca się ukrytego w łusce ziarna, ale wyczuje jego smak gorzki lub słodki, a czasem nawet określi gatunek, zdefiniuje strefę, w której ziarno dojrzało, otaksuje jego wartość odżywczą i siłę kiełkowania.

Wszystko zależy od punktu widzenia, od pryzmatu upodobań, w którym załamują się fakty, wreszcie do tych prądów tajemniczych, które falują od duszy twórcy do duszy tłumu i naodwrot.

Powrotne fale. A po odpływie, na piasku wybrzeża, każdy znajdzie to, czego szuka, — muł, piasek, zgniłe algi, muszle, perły i korale.

Było to na operze. Grano „Kuglarza Matki Boskiej” — Masseneta. Dziwna opera — bez partii kobiecej, bez miłości, bez cienia intrygi, bez zainteresowań erotycznych. Któż na to pójdzie? — pytamy. Tymczasem sala jest przepelniona jak gołębnik. Pierwsze zdziwienie. Publiczność — taka zwykła, przeciętna, ani premjerowo niesforna, ani zbyt wykwintna, ani cieleco zachwycona, ot taka, passez-moi le mot, typowo społeczna. Zachowuje się jednak z pietyzmem i tak, jakby naprawdę rozumiała, co się dzieje na scenie. Drugie dziwowisko.

A teraz nadchodzi punkt kulminacyjny. Na scenie refektarz klasztorny. Stary kucharz, braciszek zakonny, świetnie grany przez Boguckiego, opowiada nowicjuszowi-kuglarzowi legendę o Najświętszej Pannie, uciekającej do Egiptu, o dumnej róży, co odmówiła schronienia Dzieciątku i o skromnej szafwji, co je przytula na noc pod osłoną swych szorstkich płatków.

Nastrój, wywołany piękną melodią i subtelną interpretacją artysty, ma tyle prostoty ewangelicznej, średniowiecznego uroku, niezastąpionych niczem czasów dzieciństwa, cudnych wspomnień wieczornego pacierza u kolan matki, że wzruszenie widowni jest zupełnie zrozumiałe. Samorządną zgoła jest również wybuchająca żywiołowo salwa oklasków, ale cóż znaczy ten deszcz kwiatów, białych kwiatów, który spada na zdumionego artystę?

Przecież to nie tenor bohaterski, ujarzmiający tłumy, potęgą górnych tonów, suggestjonujący historyczki czarem męskiej urody, — wszak to nie prymadonna olśniewająca metalem głosu, przepychem karnacji, blaskiem klejnotów...

To poważny artysta w skromnej, realistycznie, chwilami nawet jowjalnie potraktowanej roli kucharza, poczciwca starego, który w przerwie między skrobaniem marchewki a oprawianiem indora, gwarzy z głupkowskim kuglarzem, odmuchując z pyłu zapomnienia, naiwne, odwieczne, prymitywne legendy.

— Komóż więc w jego osobie składa hołd ten tłum teatralny, obsypujący go co wieczór ze zdumiewającą jednomyślnością deszczem białych chryzantem, róż i cyklamenów?

Komu? — Niech znów za mnie teatr odpowie. Już nie opera, ale ten skromny, przytulny, schludny teatr im. Bogusławskiego.

Scena więzienna w „Dziadach”. Stary wiarus napoleoński opowiada przygodę w Hiszpanji. Było to na biwaku. Towarzysze broni sypali conceptami, jak z rekawa. Od dykteryjek do bluźnierstwa krok tylko. On jeden, Sodalis Marianus, ujął się za świętość swoją, nie dał bluźnić Marji.

Noc, sen kamienny, — po śnie straszne przebudzenie. Wszyscy francuzi porżnięci jak barany, on jeden został z głową na karku. Siega do czapki, w czapce kartka, pismo nie wiem czyje: „Vivat Polonus, unus defensor Mariae!”

Teraz już rozumiecie?

Kult Marji, Królowej Polski, jest takim klejnotem koronnym Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, że się go po dziś dzień nie waży tknąć nikt.

Nimbem tęczowym zawisł on i nad głową tego, który przewartościował wszystkie wartości Polski pogrobowej, który ze zgrozą ale i z nieubłaganiem skalpelem badacza i inkwizytora stał nad trupami wczorajszych bogów, urągając fetyszom, paląc niemilosiernie praojców gontyny, wycinając święte gaje.

Ale przed Najświętszą Panią się pokłonił. Wszak w jego to „Weselu” nie kto inny jak Matka Jasnogórska z Archaniołem na dworcu Wawelskim uniwersał pisze i na lud swój zbożny czeka. Ona to przysłała przez ręce Wernyhory róg złoty, co ma Polskę od krańca po kraniec obudzić. Róg złoty, w proroczej wizji wieszca przez Jaśka parobka zgubiony. Dzisiaj, gdy Polska, już wolna i niepodległa, wije się w mękach porodu, gdy na szyi swej własnej dociska sama stryczek katowski, gdy jest tak bliską przepaści, jak chyba tylko w czasach Targowicy bywała, — ten róg złoty na rozstaju za cenę pawich piór zgubiony, nabiera dziwnej, ponurej, tragicznej aktualności. Któż go znajdzie, kto godzien jest zadać w złoty róg, chyba wiesz tylko Ty, przejasna Korony Polskiej Królowo...

S. P. O.

## Z KSIĄŻEK.

### DZIENNIK PSOTNEGO CHŁOPCA.

Nowe wydanie książki, nad którą od kilku lat zaśmiewają się starzy i młodzi.

Zbyt młodym, zwłaszcza niezbyt biegłym w sztuce ortografii nie radzimy dawać do ręki tej przekomicznej historii o psich figlach, obiecującego Benjaminka burżujskiej solidnej rodziny. Jego pomysły są tak kuszące, a awanturnicze przygody tak silnie działają na temperament i bujną wyobraźnię młodocianych czytelników, że zdrowiej im będzie rozjaśnić nimi sobie nie jeden zmierzch młodości „górną i chmurną”, gdy się już wyrosnie ponad granice niebezpiecznego wieku robinsonjad, walk z Indjanami i polowań w dżungli. Dorosły czytelnik z przyjemnością powita dawnego, dobrego znajomego.

S. P. O.

KSIEGARNIA GEBETHNERA I WOLFFA nadesłała nam nowe wydanie znanych popularnych książek: Umińskiego: „W podobolnych krainach”, „Synowie Puszczy”, „Zwycięzcy Oceanu”.

J. Grabowskiego baśń o tem „Jak się Tomek Kowalczyk do nieba dostał”, baśń pięknie napisana na tle podań ludowych.

Or-Oł'a — „Kronikę Mieszczkańską” o wyprawie Kupców Barwinków do Ziemi Świętej 1548, staropolskim wierszem pisaną.

o dziewczynce - garbusku.

KSIEGARNIA TRZASKA, EVERT I MICHALSKI nadesłała jedną tylko książkę Aleksandra Janowskiego „Maciuś Pędrak wśród Indjan”, — przygody Maciusia w kraju Asteków.

KSIEGARNIA WĘDOŁOWSKIEGO n/Bugiem wydała „Bajki Zielonej Wyspy” Z. Popławskiej.

## Zjazd Związku Katolickiego Polek.

Dnia 11, 12-go i 13-go września odbył się w Poznaniu Zjazd delegowanych Związku Katolickiego Polek. Uświetniony obecnością przy otwarciu ks. kardynała Dalbora, ożywiony rozumnie podzieloną pracą w postaci referatów na tle potrzeb współczesnych, zjazd cieszył się licznie zebraniem członkiniami i gośćmi.

Między poruszanymi przedmiotami, prawdziwy zapał wzbudził referat hr. Marji Zamoyskiej z Kórnik, opisujący początki założenia szkoły gospodarczej dla młodzieży żeńskiej w Kórniku, później w Zakopanem. Dalej mówiła pani dr. Dobrzyńska-Rybicka „O uświadomieniu Obywatelskiem”.

„Gdyby się zamieniało zasady ewangelji św. w czyn, o braterstwie i równości, nie byłoby kwestji socjalnej”.

Przewodnicząca p. Rzepecka, opisuje nam wrażenia z kongresu kat. w Rzymie, w którym wzięto udział 21 przedstawicieli krajów. Poświęciła parę słów naszej rodaczce hr. Marji Wodzickiej, prezydentce związków katolickich kobiecych całego świata, i wspomniła o czci, jaką ją w Rzymie otaczano.

Po wielu dyskusjach podjętych między członkami, po wysłuchaniu zajmującego referatu p. Neronowiczowej z Warszawy — powzięto następujące rezolucje:

I. Przerwanie druku gazetki Zjednoczenia na razie, z powodu kosztów.

II. Uświadomienie kobiet o obowiązkach polit. i obywatelskich, w kierunku zgodnym z zasadami katolickimi.

III. Członkinie P. Z. Kobiet, sprzeniewierzyłyby się, należąc do stronnictw, które nie uznają zasad katol. albo też stawiają żądania sprzeczne z zasadami Kościoła Katol.

IV. Popieranie wyborów i oddania głosu stronnictwu, które na to zasługuje.

V. Bronienie nierozzerwalności małżeństwa.

VI. Potrzeba przygotowania kobiety do specjalnego zawodu, któryby jej zapewnił niezależność materialną. Zwrócenie się do rządu z prośbą o popieranie szkół zawodowych i gospodarczych dla kobiet.

Nieznana.

## Treść N-ru 52.

Społeczeństwo a wojsko. — Dr. Wacław Lipiński (artykuł). List. — St. Podhorska-Okołów (wiersz). Joanna Grudzińska — Księżna Łowicka. — Aleksander Kraushar. Białe liście. — Jerzy Sosnkowski. Gwiazdy i dolary. — M. H. Szprykówna. Księga umarłych. — Wanda Miłaszewska. Z teatru. Z książek. Zjazd Związku Katolickiego Polek. Dodatek mój.

## OD WYDAWNICTWA.

### PRENUMERATA „BLUSZCZU”

miesięcznie . . . . . Mk. 2 000.—

z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 6 000.— : : Cena numeru pojedynczego Mk. 550.—

: : : : Zmiana adresu Mk. 300.— : : : :

REDAKCJA: Pałac Staszica (od ul. Kopernika) : : Telefon 140-61.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszica Krak.-Przedm. 2, Koło Polek, tel. 239-40.

## CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona . . . . .	90.000
$\frac{3}{4}$ „ . . . . .	65.000
$\frac{1}{2}$ „ . . . . .	45.000
$\frac{1}{3}$ „ . . . . .	30.000
$\frac{1}{4}$ „ . . . . .	25.000
$\frac{1}{6}$ „ . . . . .	20.000
$\frac{1}{8}$ „ . . . . .	15.000
$\frac{1}{12}$ „ . . . . .	10.000
$\frac{1}{24}$ „ . . . . .	6.000
W tekście o 50% drożej.	
Art. rek. $\frac{1}{2}$ . . . . .	75.000
„ „ 1 . . . . .	150.000



# Warszawska Fabryka Kołder

na wacie, wełnie i puchu

Skład pierzy, puchu, waty wełnianej i bawełnianej

HURT i DETAL

## JAN SIERAKOWSKI

WARSZAWA

Nowy-Świat Nr. 10, tel. 308-76. Świętokrzyska Nr. 17, tel. 288-88

Przyjmuje wszelkie obstalunki z własnych i powierzonych materiałów, oraz przeróbki

: : : : starych kołder i waty : : : :

## CENTRALNA KOMISJA DOSTAW HARCERSKICH

ul. Traugutta Nr. 2.

NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO WSZELKIEGO  
RODZAJU PŁÓCIEN, MADEPOLAMÓW

i. t. p.

POLECA NADTO NA GWIAZDKĘ:  
WSZELKIEGO RODZAJU PRZYBORY  
SPORTOWE, KSIĄŻKI I CZĘŚCI EKWI-  
PUNKU HARCERSKIEGO

Ceny konkurencyjne

## Polska Centrala Handlu Niemi S. WEGENKO i S-ka

WSPÓŁWŁAŚCICIELE

„GROCHOWSKIEJ FABRYKI NICI”

WARSZAWA, KRUCZA № 24.

Tel.: sklepu 137-17, kant. 266-14.

Adres telegraf: „SWEGENKO”

WYŁĄCZNI PRZEDSTAWICIELE

FABRYKI NICI

## H. LEROUX-ROGET

PARIS

Poleca wyłącznie hurtowo z prawem wywozu:  
NICI, WEŁNĘ, PRZĘDZĘ, BAWELNĘ,  
JEDWAB, KORDONEK, BAWELNICZKĘ,  
: : COTON PERLE, SZNUROWADŁA : :  
UWAGA: Żądać wyczerpujących ofert  
i cenników.

Rok założenia 1917

WSZYSZY, KTÓRZY PRAGNĄ WIEDZY, PRENUMERUJĄ

# PRZEGLĄD ŚWIATOWY

Ilustrowany aktualny tygodnik poświęcony wiadomościom wszechstronnym

Do każdego numeru „PRZEGLĄDU ŚWIATOWEGO” dołącza się bezpłatny dodatek  
„ILUSTROWANEJ ENCYKLOPEDJI PODRĘCZNEJ”.

Redakcja i Administracja Warszawa, Sienna № 23.

Prenumerata w kraju (wraz z przesyłką pocztową) roczna 30.000 Mk., pół-  
roczna 15.000 Mk., kwartalna 7.500 Mk. Prenumerata (wraz z przesyłką  
pocztową) za granicę: roczna 50 fr., — 1 funt szterling, — 4 dol., półroczna:  
25 fr., — 1/2 funt szterling, — 2 dol.

## „CONTINENTAL”

OPONY samochodowe, motocyklowe, rowe-  
rowe, GUMY powozowe, jak również wszel-  
kie techniczne WYROBY GUMOWE - - -

PO CENACH FABRYCZNYCH  
POLECA HURTOWO I DETALICZNIE

## Jan Otffinowski i S<sup>KA</sup>

Nowy-Świat 65 (róg Świętokrzyskiej). Telefon 50-39.

## „Moje Pisemko”

TO

RADOŚĆ, ZABAWA I POŻYTEK  
WASZYCH DZIECI

ZAPRENUMERUJCIE IM NA GWIAZDKĘ

Kwartalnie Mk. 3.000, z przesyłką pocztową Mk. 3.500

## — KSIĘGARNIA M. ARCTA —

Nowy - Świat № 35.

## Dr. M. TUCHENDLER

b. lekarz polikliniki  
prof. LESSERA.

Choroby skórne  
i kosmetyka

(włosów, brodawek)

Od 11<sup>1/2</sup> — 12<sup>1/2</sup>.

Królewska 27, m. 1. Tel. 14-27.

## OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—  
Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow.

„NOWA REKLAMA” — Długa 9 i I. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: „KOŁO POLEK”.

Redaktor: SŁAWA BROWIŃSKA.

Kierowniczką literacką: WANDA FILIPKOWSKA.

Zakłady Graficzne Straszewiczów. Warszawa, ul. Leszno № 112.

